

# Pamiętnik Słima Morano – 13

11 września 2020

## Skok w nieskończoność – Mars, 4.13.70 rok marsj.

Znowu wrobili mnie w piątkę. Prosić, błagać – nic nie pomaga. I znowu wrócę chory, znowu ominie mnie ileś kolejnych nocy, tak jakbym był automatem, który nie musi spać, jeść, dla którego nie istnieją żadne pory dnia, przeciążenia i transfery. Co gorsza, miałem jakieś dziwne przeczucie, że tym razem znowu się przesunę. Bo przy wychodzeniu z piątki nigdy nic nie wiadomo. To tylko ci teoretycy, którzy siedzą na swoich ciepłych stołkach, wmawiają studentom, że z naszą technologią idzie wszystko jak z płatka. Gówno prawda! Wszystko tuszują, jak mogą, a wszelkie trudności przedstawiają jako sporadyczne anomalie, które potwierdza teoria relatywnych prawdopodobieństw Raszkego. A przecież Raszke to jest gryzipiórek, nic więcej. Nie, jeszcze coś – ma także po swojej stronie prawie całą Radę Północy: koledzy z dzieciństwa, ze studiów... A prawda? Czy w Instytucie ktoś wspomniał o moim spóźnionym powrocie z Plejad? Przesunęło mnie wówczas o jakieś dobre siedemset lat. I co by ze mną było, gdyby nie ten święty mnich, który mnie przeprowadził przez porta tempora? A gdybym nie wrócił? Załatwiliby to w krótkiej notatce sieciowej: „Wielce zasłużony kontroler przejść, Slim Morano, nie powrócił z rejsu numer taki a taki wozem z serii Lis 8 o takim to a takim numerze seryjnym. Prawdopodobną przyczyną było wyłączenie systemu autogenego i próba samodzielnego powrotu w dół”. Ale kto wyłącza autogena bez potrzeby? Chyba tylko ci, którym coś odbiło.

Postanowiłem pogadać z Melsonem Grikiem. W końcu studiowaliśmy razem i był on chyba jednym z nielicznych wykładowców w naszym Instytucie Przestrzeni, z którym Rada Północy trochę się

jeszcze liczyła. Był wprawdzie tylko honorowym członkiem Rady, ale jej najważniejszym honorowym członkiem. Miał ogromny autorytet, wyróżniał się nadludzką wręcz aktywnością i był niezastąpionym znawcą niektórych problemów przestrzennych. Wprawdzie nigdy się specjalnie dobrze nie rozumieliśmy, ale pewne minimum uczciwości to był nasz wspólny mianownik, coś, co nas w paru sytuacjach rzuciło na tę samą stronę barykady. Wsiadłem na Ochocie z metrołotu i przesiadłem się na szybkołot. Chciałem wrócić od stacji pieszo, ale myśl, żeby jak najszybciej znaleźć się we własnych czterech ścianach i spokojnie pogadać z Melsonem, zmieniła mój zamiar. W końcu wykorzystywałem okazje, żeby się poruszać na własnych kończynach częściej od innych, należałem nawet do ziemsko-marsjańskiego klubu turystyki pieszej; tyle że jako typ samotnika dość rzadko albo nawet wręcz sporadycznie korzystałem z okazji wspólnych wypraw czy wędrówek. Raczej zależało mi na popieraniu idei wędrowania i moim członkostwem chciałem się przyczynić do rozwoju tego rodzaju aktywności w Słonecznym i jego okolicach. Poza tym miałem zamiłowania archeologiczne i dzięki klubowi miałem bieżący dostęp do wielu, także nie z taką gorliwością popularyzowanych informacji i odkryć z tej dziedziny.

Melson wyglądał naprawdę dobrze. Miał wesoły i żywy głos.

– Hej! – niemal wykrzyknął. – Slim? Slim Morano?

– Na własnych nogach.

– Nie mam cię na wizji. Tak źle z tobą?

– Ach, wiesz Melson, miałem ostatnio trochę przeżyć. Czuję się przepracowany. Chciałbym cię poprosić o parę serdecznych rad. Wiesz...

– Wiem, staruszkule. Wymagają od ciebie trochę za dużo. Rozmawiałem o tobie ostatnio z Mekiem.

– Z komandorem?

- Zgadza się. Mają problemy personalne. Sam wiesz. Jesteś dla nich praktycznie niezastąpionym oblatywaczem nowych przejść.
- W stopniu porucznika – przerwałem mu.
- I tu się mylisz. Dostałeś awans. Tylko tsss. Oficjalnie dostaniesz zaproszenie za parę dni. Muszą cię awansować, bo chcą, żebyś zaczął szkolić wyższy rangą personel. A to jest możliwe od kapitana w górę, wiesz przecież.
- Jednym słowem – coś za coś. A co by było, gdybym nie przyjął tego awansu?
- Mieliby problem. Ale nie z tobą, tylko z narybkiem. Ktoś musi im pokazać, gdzie kończy się nieskończoność.
- Co to znaczy praktycznie? Że przydzielą mi jakiegoś młokosa, któremu portki drżą na samą myśl o pierwszej lepszej czarnej dziurze?
- Lepiej, ale tsss... Nie możesz się zwizjować? Trochę głupio tak z tobą gadać.
- Nie, Meli, wolałbym nie. Przerazisz się, jak mnie zobaczysz. I nie dostanę awansu...
- Tak źle z tobą?
- Ach nie. Ale jestem trochę zły na cały świat. Wiesz, czasem tak jest... – nie dokończyłem.
- Wiem, wiem. Ale do rzeczy. Dostaniesz na wychowanie – Melson zrobił pauzę i wziął nieco głębszy oddech. – Dostaniesz uczennicę. Moją uczennicę!
- Super, jestem w siódmym niebie!
- Nie bój się, ona jest okay.
- Hetero?

- Hetero.
  - Jesteś pewien?...
  - Slim, to jest moja uczennica. Ona lubi facetów, wierz mi.
  - Ważniejsze, żeby ich nie nienawidziła.
  - Ach, to jest twój konik.
  - Wiesz, co przeszedłem...
  - Slim, ty jesteś dla niej wzorem.
  - Wzorem, jak umierać, żeby żyć? To umiem najlepiej.
  - Nie. Wzorem, jak praktykować rzeczy niemożliwe.
  - Dobra. Ile ma lat?
  - Trzydzieści sześć. Jest tylko dziesięć lat młodsza od ciebie; przynajmniej od ciebie trójwymiarowego. Ma siedemnastoletniego syna. I żadnego partnera od dwóch lat. Kiedyś zobaczyła w sieci materiał z którejś twojej wyprawy, to chyba była ta historia z przejściem z Byka do Plejad...
  - Ach, wtedy poznałem Alpa. Stare dzieje...
  - No, w każdym razie ona zna twoje wszystkie wyczyny na pamięć. Podobno widziała cię osobiście w jakimś miejscu mocy we Flancji... czy w Eksyku. I pożyczyłaś jej wtedy chusteczkę...
  - Ach tak! Pamiętam! Nie miała przy sobie nic. I spłakała się jak bóbr. I posłała do mnie może ośmioletniego wtedy synka po... chusteczkę. Ja się właśnie ładowałem.
  - Ale ona kiedyś była inna. Bardzo się zmieniła. Wyszczupiała...
- Chwilę milczałem.
- Przekonałem cię? – zagadnął w końcu Grik.
  - Co, że nie jest lewa?

Teraz on nie odpowiadał.

– Może – rzuciłem bez przekonania po krótkim namyśle. – A może nie. Nie wiem sam. Wiesz, jak to jest. One budzą twoje współczucie... i tracisz orientację.

– Ty powinieneś być psychologiem...

– Chyba nim jestem. I moi przełożeni to wykorzystują. Wychodzą z założenia, że wystarczy, że ja ich rozumiem. Oni mnie nawet nie usiłują.

– Ach, wiesz Slim... Ale legendy krążą o tobie. A twoich przełożonych nikt nie zna.

– Ciemności też nikt nie zna. Ale one znają ciebie.

– Co chcesz przez to powiedzieć? Chcesz być którymś z nich? Pomogę ci. W pięć lat możesz zostać wicekomandorem.

– Zanudziłbym się na śmierć.

– No widzisz!... Dobra, to bierzesz ją czy nie? I tak ci wetkną całą masę personelu.

– Powiedz mi, czy ona się we mnie kocha?

– A co, spodobała ci się wtedy... w tym Eksyku?

– We Flancji.

– We Flancji...

– Kto wie?... – odpowiedziałem po chwili. – Po prostu ją polubiłem. Zrobiło mi się jej żal. Ale dobra. Niech będzie. Ci z góry i tak wiedzą wszystko lepiej.

– Kogo masz na myśli?

– Kogo? Tych, którzy chcą na siłę zrobić ze mnie bohatera. Albo biorą mnie za jednego ze swoich.

- Masz na myśli tych z nadprzestrzeni?
- A co to jest nadprzestrzeń, Melson?
- Ty powinieneś to najlepiej wiedzieć.
- Ale nie wiem. Tam obowiązują inne prawa. Tego nie można ot tak nazywać. Wiesz sam – podprzestrzeń, nadprzestrzeń, lochy, przejścia, dziury – to wszystko jest umowne. Nawet nie wiemy, czy tam się kończy czy zaczyna nieskończoność.
- Oficjalnie nieskończoność się nie kończy...
- Która? – przerwałem mu. – Ta nasza czy ta ich? Wiesz, że byłem już na końcu tego, co nazywamy naszą czasoprzestrzenią. Ale czy to byłem nadal ja – ten, który tam był – czy całkiem ktoś inny... To są gracze, ci z góry. I to oni mają w tym jakiś interes, żeby wyjmować mnie spod prawa...
- To znaczy?
- Sam wiesz. Często to nie ja sam przechodzę, to oni mnie tam jakoś wpychają. I chronią. Ale zdajesz sobie sprawę, że nie mogę gwarantować żadnemu, nawet najlepszemu uczniowi...
- Uczennicy...
- Nikomu. Nikomu nie mogę gwarantować, że przejdzie i wróci. Że się nie zgubi. Bo to nie ja decyduję. To oni...
- Rozumiem, to nie jest świat z napisem: „Właściciel – Slim Morano”. Ale o twojej bryce możesz chyba powiedzieć, że jest chroniona. Więc jeżeli masz kogoś ze sobą, to on nie podlega innym prawom niż ty.
- Nie wiem, to zależy... To zależy od tej osoby. Od tego, czy oni ją chcą objąć ochroną. A ich wymagania są dość specyficzne.
- Rozumiem, coś chyba rozumiem. Muszę kończyć, Slim. Mam spotkanie.

– Prywatnie?

– Wyobraź sobie! – głos Melsona zrobił się weselszy. – Dam ci znać, co i jak. Trzymaj się, Slim.

– Trzymaj się. Dzięki za wszystko.

Rano miałem już w poczcie zaproszenie do Okholmu na pojutrze. Nie musiałem pojawiać się tam osobiście, ale moja bryczka przechodziła właśnie przegląd i chciałem się nią przelecieć po orbicie, może też wyskoczyć na chwilę na Księżyc. W końcu te parę minut mnie nie zbawi – rozumowałem – a brykę trzeba wypróbować teraz, póki mi się znowu wszystko nie zwali na głowę. Poza tym na Księżycu mieli promocję na całkiem dobre kapcie próżniowe, a moje stare właśnie się rozpadły i jakby trzeba było na zewnątrz ręcznie coś zreperować, to byłby duży problem. W poczcie miałem też prośby o interview od 37 stacji – w związku z moją nową wyprawą na krańce czasoprzestrzeni. Pytam się – skąd oni o tym wiedzą? Skąd wiedzą więcej ode mnie o wyprawie, która powinna być ściśle tajna? I cóż to za sformułowanie – krańce czasoprzestrzeni? Znalazłem tylko jedno wytłumaczenie. Rada chce wprowadzić szeroką publikę w błąd, żeby się nikt rzeczywistego celu tej eskapady nie domyślił. Jakiego celu?... Ruchomego.

Wywiadu odmówiłem bez wyjątku wszystkim jak leci. Od czego Centrala Lotów ma wydział prasowy? Potem połączyłem się z warsztatem w Nowej Addis Abebie (choć nie byli oni dla swoich klientów zbyt przymilni, to jednak zawsze mieli do dyspozycji ekspresowe terminy) i spytałem, czy mogą mi przesłać moją bryczkę do Warszawy.

– Jaki model? – spytała monotonnym tonem białoskóra, tłusta urzędniczka.

– Lis 8.

– Nazwisko?

- Slim Morano.
- Numer seryjny?
- Mój?
- Coś ty, z księżycyca spadł? Nie twój, tylko twojego wózka.
- Ach, no tak. Zmęczony jestem.

Na szczęście znałem numer fabryczny Lisa na pamięć.

- 7821130004 – wypaliłem.
- Na kiedy wóz miał być gotowy?
- Na jutro.
- No właśnie. Na jutro nie zdążymy podesłać. Najwyżej na pojutrze.
- To odbiorę jutro sam.
- Ale po południu. Bo może być jeszcze w naprawie.
- W naprawie? To miał być tylko przegląd!
- Ale grawimag był zupełnie zdezelowany. A do tych trupów nie mamy już na Ziemi części zamiennych i musieliśmy twój wózek odesłać na Księżyc. Tam mają specjalne rumowisko z takimi starociami.
- Twój sposób prowadzenia rozmowy z klientami wymaga chyba jakiejś zmiany, kochana.

- Po pierwsze nie jestem dla ciebie kochana, a po drugie możesz się poskarżyć. Formularze znajdziesz w sieci.

Nie chciałem z babą (przepraszam: nieuprzejmą urzędniczką) więcej się kłócić, więc dałem za wygraną. Umówiłem się, że pojedę promem na Księżyc i sam odbiorę mojego Lisa bezpośrednio z warsztatu.



Trafiłem tam na bardzo miłą obsługę. Kierownik warsztatu to był już starszy gość, ale, jak się okazało, wyśmienity fachowiec. Moja bryczka lśniła czystością, jakby była prawie nowa, i nawet ceratka na stoliku śniadaniowym (który sobie kiedyś sam wbudowałem) była wymieniona. Podziękowałem kierownikowi warsztatu bardzo serdecznie, ale on jeszcze zapytał:

– Ty jesteś przecież Slim, prawda? Slim Morano?

Przytaknąłem.

– Skolimowski – wyciągnął do mnie rękę. – Egon Skolimowski. Chciałbym cię o coś poprosić – kontynuował – albo raczej o czymś ci powiedzieć. Otóż... Otóż moja córka, Kate, chce pójść w twoje ślady. O ile wiem, będzie ci towarzyszyła. I dlatego przyłożyłem się trochę do twojego wózka, jak by to był jej. Nie znaczy to, że mam lepszych lub gorszych klientów. Po prostu zainstalowałem ci parę rzeczy, które mogą ci się przydać. Masz nowy grawimag, nowe stery czasowe i cały węzeł sanitarny. Nawet apteczka jest nowa, z całym zestawem świeżych minerałów i stymulatorów.

– Dziękuję – wybąkałem – dziękuję...

– Nie trzeba. Robię to też dla niej. Jaką matką lećcie?

– Po pierwsze jeszcze nie wiem, a po drugie... to chyba nie jest żadna jawna informacja?...

– Rozumiem – skonkludował. – Pewnie Psyche.

– Albo Astarte. Wolałbym Astarte.

– Masz rację, Astarte byłaby najlepsza. Ma szybsze zamki czasowe. I precyzyjniejszą koordynację przy zejściach. Chyba... Chyba że mają dla was coś całkiem nowego.

– Wątpię – rzuciłem. – Wozy-matki nie powstają z dnia na dzień.

- Zgadza się. Ale nikt nie mówi, że to miałyby być z dnia na dzień. Możesz mi wierzyć, wiem coś o tym, jestem z tej branży.
- Wierzę – przytaknąłem krótko. I chciałem się pożegnać, był na mnie już czas.

Ale on powiedział:

- Coś jeszcze. Chcesz nowy unilog?
- Do Lisa?
- Tak.
- Nie wiem.
- Prawdę mówiąc, już go masz. Musisz go tylko zaktywować. To jest najnowsza generacja. Nie wiadomo jeszcze, czy wejdzie w ogóle do produkcji. Ale on został opracowany z myślą o takich jak ty. Wspiera cię przy wyłączonym autogenie: podaje ci koordynaty, sonduje i oblicza przejścia, redukuje niepotrzebne straty energii.
- A kto nim zarządza? Ja czy...
- Nie bój się. Ten model nie tylko jest stuprocentowo lojalny, ale samoczynnie się wyłącza, jeżeli grozi mu przejście pod czyjąś kontrolę albo jest jakieś podejrzenie inwigilacji. I reaguje tylko na twój głos i magmę.
- A jak mam go przepchnąć przez kontrolę lotów?
- Slim, nie obraż się, że cię tak nazwę, ale jesteś dzieciakiem. Ja jestem w tym geszefcie dłużej niż cię ta ziemia nosi. Mek się na pewno zgodzi, a poza tym nie robisz nic nielegalnego, Lis jest przecież twoim prywatnym środkiem lokomocji na usługach Floty. A może chcesz powiedzieć, że spłacasz za niego jeszcze raty?

Chciałem już powiedzieć, że trafił w dziesiątkę, ale wolałem nie wychodzić na głupka, tym bardziej, że rozmawiałem z ojcem

jednej z kandydatek na członka załogi. To by dopiero było, gdyby się rozeszła plotka, że propagandowy oblatywacz Centrali spłaca raty za grata wycofanego co najmniej przed jednym pokoleniem z produkcji. Kogo by wtedy interesowało, że Centrala za udział w reklamach propagandowych nic nie płaci? 37 punkt regulaminu, zawartego już w umowie o pracę dla adeptów. Albo kogo by interesowało, że ze względów etycznych nie czerpię zysków z prywatnych reklam? I że jeżeli już gdzieś się pojawia, to i tak wszystko przeznaczam na cele dobroczynne? Żeby mi potem nikt nie zarzucał, że jestem na czyichś usługach. Powiedziałem więc tylko:

– No coś ty, przecież to stary grat.

– Już nie taki stary! – zachnął się. – Nieźle ci go podrasowałem. A kontrola lotów nowego loga i tak nie jest w stanie wykryć. Zresztą płacą im takie grosze... Myślisz, że ktoś z nich zada sobie tyle trudu? Daję ci za to moją głowę.

Uśmiechnął się i wyciągnął do mnie przyjaźnie rękę.

Za jego bezinteresowny wkład w dobro wyprawy, jak i za jego pospiech byłem mu wdzięczny. Czekwały mnie jeszcze długie przygotowania, od czwartku miałem być co najmniej przez dwa następne tygodnie marsjańskie w Centrali Lotów i Przejść. A ponieważ po moim powrocie z Syriusza nie została mi żadna niepodarta część garderoby, bo te ich dwunożne koty z czwórki uważały za stosowne okazać mi swoją niezwykłą gościnność, przymierzając moje ubrania i bieliznę – musiałem się jeszcze i tym zająć. To zaś z kolei było połączone z wizytą w zakładzie krawieckim, jako że należałem do grona Ziemiaków, których rzeczy osobiste musiały być zawsze dostosowane do indywidualnego spektrum immunologicznego. Posiadałem wprawdzie – nielegalnie – parę sztuk niezimmunologizowanej bielizny, ale nie powinienem oficjalnie ich używać, tym bardziej jako szef, tam na górze, bo i inni mieli przecież zakaz. Dodatkowym argumentem zaś było, że jeżeli chciałem mieć posłuch, nie mogłem sobie pozwalać na odstępowanie nawet od

najdrobniejszych punktów regulaminu.

Na zakończenie do Skolimowskiego rzuciłem:

– Dzięki ci za wszystko. Muszę się trochę pospieszyć. Twoją pociechę będę miał na oku. Ale sam wiesz, co ona ryzykuje.

– Wiem, ale od tego postanowienia nie udało mi się jej odwieść. Widać tak musi być. Życzę wam szerokich przejść.

– Dzięki, trzymaj się – podaliśmy sobie ręce i serdecznie pokleпали się po plecach.

Mój Lisek „lśnił” i zacząłem się już na serio zastanawiać, czy to nie jest jakaś całkiem nowa bryczka, taka kopia mojego wózka z zupełnie nowymi wnętrznościami. Lecz kiedy zobaczyłem nietknięty, wyłożony jedynie świeżą ceratką mój stółik śniadaniowy z tą samą, zardzewiałą, przedpotopową śrubką (od spodu po lewej od strony ściany), rozwiały się wszystkie moje podejrzenia i wątpliwości.

– Cześć Ela – powiedziałem do loga po chwili.

– Hej – odezwał się miły, niski, tak dobrze mi znany kobiecy głos.

– Wszystko gra?

– Yhym. Ale mam młodszą siostrzyczkę.

– Serio?

– Yhym. Mam ją zaktywować?

– Yhym.

– Jak ona się wabi?

– Ela Bis – odezwała się po chwili.

– Nie podoba mi się – rzuciłem krótko. – Nazwiemy ją... Masz jakieś propozycje?

– Liza?

– Liza?... Nie.

– Su?

– Su?... To brzmi nieźle. Niech będzie Su.

– Su od super – wtrąciła się nagle Su, która jeszcze przed chwilą była Elą Bis.

– Już gdzieś to słyszałem – powiedziałem. – Ale to było chyba w jakimś innym opowiadaniu.

– Slim, coś z tobą nie tak? – zaniepokoiła się Ela.

– Ze mną jest zawsze coś nie tak, wiesz przecież.

– To fakt. Zbyt często przechodzisz granice mojej wyobraźni.

– Tu nie chodzi o wyobraźnię. Tu chodzi o nieskończoność.

Ela tego nie skomentowała. Zdezaktywowała się po prostu. Od tego momentu moim pokładowym unilogiem na Lisie była Su. Su, która potem okazała się być formą wyższej świadomości. Miała zdolność materializowania się w różnych postaciach, najczęściej jednak przybierała postać małego zwierzątka, rodzaju małej małpki. Miałem okazję przekonać się o tym parę dni później – ku niezadowoleniu Czarusia. Czarus bowiem z ledwością tolerował na pokładzie Lisa obecność jakichkolwiek innych person, ale coś takiego jak Su to była dla niego absolutna persona non grata.

Autorstwo: Slim

Źródło: WolneMedia.net